

zbiegło zupełnie spokojnie bez ciekawszego wydarzenia. Ale wczoraj przybywa nieszczęśliwa ofiara do tego pokoju, z którego już wyjść nie miała. Około godziny pierwszej lub drugiej, w chwili gdy cisza zupełna zaległa hotel, morderca — ten drugi wspólnik — wyszedł ze swojego pokoju przez okno, spuszcza się do wysokości okna pokoju pod nr. 8-mym, które otwiera sobie sztyltem i dostaje się do Lesparre'a. Ten, zmęczony podróżą, spał głęboko i morderca miał czas iść otworzyć drzwi swojemu wspólnikowi, który czekał już na niego za drzwiami tego gabinetu. Wtedy nędznicy rzucili się na nieszczęśliwego i podczas gdy jeden ręką zatykał mu usta, bojąc się, by krzyk jego nie rozbudził mieszkańców hotelu, drugi pchnął go trzykrotnie silnie nożem w piersi.

— To straszne! — rzekł doktor.

— Oczywiście — ciągnął dalej agent — jest to straszne i tajemnicze, bo jeżeli dotąd odkryliśmy, w jaki sposób zbrodnia została dokonana, nie wiemy nic o mordercach i powodach, które ich do tego kroku popchnęły.

— Zapewne kradzież... — odezwał się komisarz.

— Możliwe. Nazwisko Lesparre'a nie jest jego prawdziwym nazwiskiem. Mordercom musiało zależeć na tem, aby nie odkryto, kto był ich ofiarą, gdyż zabrali papiery, jakie mógł mieć przy sobie i sprzątnęli walizkę. Zresztą teraz nie należy tracić czasu na niepewne domysły. Bierzmy się do dzieła. Zobaczymy, co z tego wyniknie.

Mówiąc to, Buvard wznosił świecę do wysokości górnej zasuwki.

Nagle ręka jego nerwowo za drżała.

— Co panu jest? — zapytał doktor, który zauważył zmieszanie agenta.

— Patrzcie! Patrzcie!

Doktor spojrział i cofnął się zdumiony.

Na drzwiach tuż przy zasuwce widniał krwawy odcisk pięciu palców.

ROZDZIAŁ III.

Drugi trup.

— Otóż to jest droga, którą obrali zbrodniarze uciekając — rzekł Buvard — nie zadali sobie nawet trudu, aby zasunąć zasuwkę z tamtej strony. Wystarczy tylko klamką ruszyć, a drzwi się otworzą bez trudu.

Agent wyciągnął rękę do klamki, ale nagle zatrzymał się, spoglądając z niepokojem po obecnych. Czyżby to było możliwe? Czy uległ jakiejś naglej halucynacji zmysłów? Z za drzwi dochodził go bolesny jęk, charczenie okropne umierającego człowieka.

— Czyście panowie słyszeli? — zapytał odwracając się agent, błądzący ze wzruszenia.

— Słyszę, słyszę coś — szepnął komisarz.

— W tym pokoju, tam... znajduje się druga ofiara.

— Otwórz pau drzwi, pośpiesz się! prędko! może jeszcze nadejdziemy na czas.

Buvard pchnął drzwi i oddawszy właścicielowi hotelu świecę, którą ciągle jeszcze trzymał w ręku, wpadł do pokoju. Na chwilę stanął zdumiony. Zbrodnia przybierała straszne rozmiary, tajemnica zamiast się wyjaśniać, zaciemniała się coraz więcej.

— Ten nieszczęśliwy oddycha jeszcze — zauważył lekarz, który z ciekawością pochylił się nad umierającym.

— Czy myślisz pan, że będzie w stanie mówić? — zapytał agent.

— Wątpię — odpowiedział lekarz.

— Jak długo żyć może jeszcze?

— Zaledwie kilka minut.

— Spróbujmy jednakże.

Buvard zbliżył się do łóżka i ścisnął silnie rękę nieznanego. Ciało jego drgnęło, otworzył usta i oczy, w których widniał już lęk śmiertelnej agonii.

— Nie bój się... jesteśmy przyjaciółmi — rzekł agent. — Jeżeli zechcesz mówić, możemy cię jeszcze ocalić.

Nieszczęśliwy kurczowo zacisnął dłonie i wyraz okropnej nienawiści błysnął w jego oczach.

— Dalej, odwagi! — nalegał agent — powiedz nam tylko jedno słowo: czy znałeś swojego zabójcę?

Dziki ruch był odpowiedzią na to pytanie.

— Dobrze; widzę, że mnie słyszysz, to już dobry znak. A więc, jeżeli znasz mordercę, musisz pragnąć, aby zbrodnia jego została pomszczoną. Nie trzeba dozwolić, aby uniknął zasłużonej kary! On musi umrzeć za ciebie i to będzie twoją zemstą!...

Przy tych ostatnich słowach nieznanemu powstał nagle straszny, z wyrazem szalu na twarzy. Z ust jego wybiegło jakieś mruczenie.

— Dobrze idzie; dotknąłem czulej struny! — zauważył z lekkim uśmiechem agent. — No! mój przyjacielu, trochę dobrej woli. Przemówże mój drogi i powiedz.

Buvard nachylił się jeszcze więcej nad konającym, w którego wlepił przenikliwe, prawie rozkazuujące spojrzenie. Trzeba było się spieszyć; każda



Komisarz... sam przystąpił do zwłok skrwawionych.

chwila była droga. Nieszczęśliwemu zaledwie kilkanaście sekund zostawało do życia. Trzeba było wyrwać z ust jego jakie zeznanie, nazwisko, słowo, które mogło policję naprowadzić na ślad zbrodniarzy. Ofiara czyniła nadludzkie wysiłki; pierś jego podnosiła się nerwowo, pot lodowaty wystąpił na pośladki czoło, a palce jego konwulsyjnie miały prześcierać łóżko. Nareszcie otworzył usta: niewyraźny dźwięk wybiegł mu z gardła i byłby może wymówił oczekiwane z taką gorączką słowo, gdy nagłym ruchem ręce wysunął przed siebie, wyraz nieopisanego lęku odbił się na jego twarzy i upadł z powrotem ciężko na poduszki, ukrywając głowę w drżących rękach.

— Buvard, to Buvard! — szepnął zamierającym głosem.

W jednej chwili rysy jego twarzy wyciągnęły się, czkawka śmiertelna podniosła po raz ostatni jego piersi i ciało wyprężyło się w skurczu.

— Umarł — rzekł doktor.

— Niewielka szkoda — odrzekł agent wzruszając ramionami.

— Zdaje mi się, że przed śmiercią wymówił czyjeś nazwisko? — zapytał komisarz.

— Tak jest.

— A czyje to było nazwisko?

— Moje.

— A więc on znał pana?

— Do stu dyabłów! Zdaje mi się, że miałem przyjemność spotykać go w świecie, a ten niewdzięcznik nie czuł się bardzo uradowanym moim widokiem.

— Ale któż jest ten człowiek? — spytał lekarz.

— Dowiemy się wkrótce — odpowiedział agent.

I bez żadnego poszanowania dla zmarłego, podniósł trupa ruchem pewnym, silnym i objął mu głowę rękami. Doktor i komisarz patrzyli na niego z gorączkowym zaciekawieniem i zdumieniem. Agent bez namysłu zdjął umarłemu czarną brodę, która twarz mu okalała i perukę z rzadkich rudych włosów, która pokrywała jego wyłysiałą głowę.

— No, no! To paradne! Zapomniałeś bratku, że wszelkie maskowanie się jest niedozwolone.

Agent dalej obracał trupa na wszystkie strony jak kot, który bawi się myszą — od czasu do czasu z ust jego wybiegał lekki okrzyk zadowolenia.

— Spodziewałem się tego — mówił rozbierając trupa i wskazując na piersi jego i ramiona, tatuowane misternie. — Dowody napływają, to bydlę nosi na skórze swój paszport... Oh, jakaż to przyjemność jednak spotkać się po tak długim rozłączeniu! Ten trup nam więcej wyjaśni, niż cała banda świadków.

Doktor i komisarz czekali niecierpliwie na jakieś wyjaśnienie tej dziwnej sceny.

— Cóż to wszystko znaczy? — zapytał nareszcie komisarz agenta, który zadowolony odstąpił od zwłok zamordowanego.

— Jest tak, jak się spodziewałem — odpowiedział — było tu dwóch zbrodniarzy. Jeden wszedł oknem do pokoju pod n-r'em 8, drugi oczekiwał wspólnika pod n-r'em 7-mym. Tylko że ten ostatni dał się okropnie podejść. Obawiano się, aby nie zdradził... lub też sam nie skorzystał z całej sprawy i dlatego ma się rozumieć postarano się uczynić go na przyszłość nieszkodliwym.

— Ale pan go znasz?

— Widywałem go niekiedy, prawie co rok. W Tulonie klimat mu nie służył i od czasu do czasu zaglądał do Paryża, gdzie go niekiedy przytrzymywano.

— A więc to galernik?

— I to galernik niezwykle. W jego życiu jest jedno zdarzenie, które każe na niego zwrócić szczególną uwagę.

— Cóż to za zdarzenie?

— Jego ucieczka z galer, ucieczka, która się odbyła w dziwnych co najmniej okolicznościach; był w towarzystwie łajdaka niebezpiecznego, którego nawet policja się obawia.

— Ale cóż ta łączność?

Agent spoważniał.

— Nie żartujmy, drogi panie — rzekł żywo — ucieczka, o której mówię, odbyła się lat temu kilka, ale okoliczności dramatyczne, jakie jej towarzyszyły, są tak dziwnej natury, że mimowoli myślę, iż mają one pewną łączność z dramatem, który się dziś tu rozgrywa.

— Jakim sposobem?

— Zaraz się wytłumaczę.

Cisza zaległa pokój. Buvard nie był już tym samym człowiekiem: stał się poważnym i zamyślnym; powieki jego drżały nerwowo.

— Widzicie panowie — zaczął tonem profesora filozofii, przemawiającego do zebranego audytorium — nie trzeba sądzić, że zbrodnia jest rzeczą banalną, którą można uważać za moralną chorobę organiczną człowieka. Gdyby tak było, wymagano by jedynie od urzędnika policji dokładnej znajomości licznych i różnych formułek, których streszczeniem byłoby stare jak świat prawo, na mocy którego winowajcą byłby ten, który ze zbrodni najwięcej korzyści odniósł. W większej liczbie wypadków jest to prawda, ale wywołuje to przesąd...

(Dalszy ciąg nastąpi).